

## dom mody suknie PART V

Autor: Pijus X - 2008/12/17 09:00

Ta nowa przeszkoda natychmiast wzbudza ich niepokój. Każdy kontakt ze społecznością izraelską, a zwłaszcza z administracją, jest dla nich problemem.

a.. Musze was zawieźć samochodem do Jerozolimy, pana i panią, bo trzeba podpisać papiery. b.. Ale my nie umiemy pisać! - Nic nie szkodzi, wystarczy odcisk palca... - Dobrze, pojedziemy tam z panią. Tym razem muszę przygotować do sprawy administrację, zanim przywiezie tam rodziców. Na szczęście znam sporo ludzi w wydziale wizowym w Jerozolimie. Tam mogę przedstawić całą sprawę, a urzędnicy wiedzą, co robię dla dzieci. Teraz zresztą też chcę ocalić dziecko. Souad powiedziała mi, że ma siedemnaście lat, ale to nie-ważne, jest jeszcze dzieckiem. W Jerozolimie tłumaczę urzędnikom, że przywiezie do nich rodziców pewnej Palestynki, bardzo ciężko cho-rej. Nie można kazać im czekać trzech godzin, bo mogą zrezygnować i niczego nie podpiszą. Ci ludzie są niepisemni i potrzebują mojej pomocy w załatwieniu wszystkich formalności. Przywiezie tu ich wraz z metryką urodzenia, jeśli w ogóle takowa istnieje, a administracja ma tylko potwierdzić wiek ich córki na specjalnej przepustce. Dodaje, że to nie jedyna sprawa, bo dziewczyna wyjedzie razem ze swoim dzieckiem. Chociaż jeszcze nie wiem, gdzie jest to dziecko ani jak mam je znaleźć. Ale teraz nie ma co zaprzętać sobie tym głowy, trzeba to załatwić po kolei.

Moim najważniejszym problemem jest zmuszenie do działania rodziców Souad i zapewnienie jej choć podstawowego leczenia. Jak było do przewidzenia, izraelski urzędnik pyta: a.. Ale znasz nazwisko ojca dziecka? b.. - Nie, nie znam jego nazwiska. c.. To napiszemy mu: niesłubne? Złosci mnie podobna deklaracja na papierze. - Nie, nie napiszemy, że jest niesłubne! Jego matka wyjeżdża za granicę, a tam historie, czy słubne, czy niesłubne, nie mają znaczenia! Ten rodzaj przepustki dla Souad i jej dziecka to nie paszport, tylko zwykłe pozwolenie na opuszczenie terytorium palestyńskiego i wyjazd za granicę. Souad już nigdy więcej tu nie wróci. To znaczy, że wirtualnie nie będzie żadnego śladu jej istnienia w rodzinnym kraju. Mała, spalona dziewczyna wymazana zostanie z ewidencji. Duch. Fantom. - Przygotujcie mi dwie przepustki, jedna dla matki, druga dla dziecka. a.. Gdzie jest to dziecko? b.. Znajde je. Czas mija, ale po upływie mniej więcej godziny administracja izraelska zapala przede mną zielone światło. I już następnego dnia jadę po rodziców, tym razem sama, jak dorosła osoba. W milczeniu wsiadają do samochodu, takie dwie maski, i oto jesteśmy w Jerozolimie w biurze wizowym. Dla nich jest to wrogi terytorium, zazwyczaj traktuje się ich tu gorzej niż zwierzęta. Siedzę obok nich i czekam. Dla Izraelczyków jestem pewnym rodzajem gwarancji, że ci ludzie nie przyszlizną tu z bombą. Bardzo dobrze mnie tu znają, od kiedy zaczęłam pracować w środowiskach palestyńskich i izraelskich. W pewnej chwili urzędnik, który wydaje papiery, daje mi rękę znaczyć, żebym podeszła: a.. Według aktu urodzenia ona ma dziewiętnaście lat! A mówiłaś, że ma siedemnaście! b.. Nie będziemy teraz o tym dyskutować, nie zwracaj sobie tym głowy, czy ma siedemnaście, czy dziewiętnaście lat... c.. Ale dlaczego jej tu nie przywiozłaś? Ona także musi to podpisać! d.. Nie przywiozłam jej, bo jest umierająca, w szpitalu. e.. A dziecko? f.. Posłuchaj, odpuszczone sobie. Teraz dasz mi przepustkę dla dziewczyny, w obecności jej rodziców, oni to podpiszą, a co się tyczy dziecka, przywiezie wam wszystkie dane i potem go poszukam. Jeśli nie ma podejrzeń o zagrożenie terytorium kraju, urzędnicy izraelscy są bardzo chętni do współpracy. Na samym początku mojej działalności w organizacjach humanitarnych, kiedy zadania wiodły mnie na terytoria okupowane, najpierw wezwali mnie do siebie na coś w rodzaju przesłuchania. Potem musiałam się nauczyć, jak sobie z nimi radzić. Kiedy zrozumieli, że zajmuję się także żydowskimi dziećmi, poważnie uproszonymi z powodu małżeństw osób bardzo blisko ze sobą spokrewnionych, co zdarza się w pewnych środowiskach, nasze stosunki od razu się polepszyły. Na nieszczęście niektóre żydowskie dzieci pochodzące z rodzin fanatycznie religijnych, gdzie małżeństwa zawierane są jedynie wśród bliskich kuzynów, rodzą się z głębokim mongolizmem lub innym uposzczeniem. Podobnie dzieje się wśród arabskich fanatyków religijnych. Moja praca w tamtych czasach dotyczyła głównie tego problemu, w obydwu społecznościach. Pozwoliło mi to zbudować klimat pewnego zaufania, szczególnie wśród urzędników. Biuro przepustek usytuowane jest za murami, niedaleko starego miasta Jerozolimy. Do samochodu wróciłam więc pieszo z tym bezcennym dokumentem i rodzicami. Przebrnelismy przez sam środek izraelskich posterunków, pełnych uzbrojonych po zęby żołnierzy. Za-brałam tych ludzi z wioski, teraz ich tam odwiezie. Małego mężczyźni o niebieskich oczach i rudych włosach, w białym kufie, z łaską i je-go ubrana na czarno żona, ze wzrokiem wbitym w dół sukienki. Między ich wioską a Jerozolimą jest mniej więcej godzina drogi. Za pierwszym razem bardzo bałam się spotkania z nimi, robiłam do-bra mine. Teraz już się ich nie bałam, nie osadzałam ich, myślałam tylko: Biedni ludzie. Wszyscy jesteśmy igraszką w rękach losu, oni, i my. Jechali ze mną w jedną i drugą stronę, nie odzywając się ani słowem. Trochę się obawiali, że Izraelczycy będą im robić na miejscu jakieś nieprzyjemności. Mówiłam im, żeby niczego się nie bali, że wszystko pójdzie dobrze. Poza paroma ważnymi informacjami, nie prowadziłam z nimi żadnej rozmowy. Nie widziałam pozostałych członków ich rodziny ani wewnątrz domu. Kiedy na nich patrzyłam, trudno było mi uwierzyć, że chcą zabić swoją córkę. A jednak, jeśli nawet egzekutorem wyroku był szwagier, to przecież oni sami o tym zdecydowali. Takie samo uczucie ogarnęło mnie o wiele później po tym pierwszym doświadczeniu, w zetknięciu z innymi rodzicami, których spotkałam w podobnych okolicznościach. Nie umiałam traktować ich jak morderców. Ci nie płakali, ale widziałam takich, co płakali, bo sami byli więźniami tego okrutnego zwyczaju: honorowego zabójstwa. Przed ich domem, jak zwykle zamknietym, chowającym w środku tajemnicę i nieszczęście, wysiedli z samochodu, milcząc, ja też się nie odezwałam. Już więcej się nie zobaczyliśmy. Pozostało mi jeszcze dużo do zrobienia. Najpierw musiałam nawiązać kontakt z moim szefem. Edmond Kaiser jest założycielem Ziemi Ludzi. Jeszcze z nim nie rozmawiałam na temat mojego szalonego przedsięwzięcia. Przed finalizacją - jeśli mogę tak to nazwać - całej sprawy powinnam załatwić pewne formalności urzędowe. Skontaktowałam się więc z Edmondem Kaiserem, który do tej pory nigdy nie słyszał o tego typu historiach. Opowiedziałam mu o wszystkim: Mam tu dziewczynę, którą chciano spalić i która ma dziecko. Zamierzam przywieźć ją do nas, tylko nie wiem jeszcze, gdzie jest dziecko. Zgadzasz się na to wszystko? - Oczywiście, że się zgadzam. To cały on, Edmond Kaiser. Wspaniały człowiek o niesamowitej intuicji. Stawiasz mu pytanie - odpowiedź jest

natychmiastowa. Można dojść z nim do porozumienia nieomal bez słów. Spiesz się, by wyrwać małą Souad z tej brudnej umieralni, gdzie cierpi niewyobrażalne męki, ale w której miałymy szczęście, i ona, i ja, doświadczycie nieocenionej pomocy doktora Hassana. Bóg jeden wie, czy bez jego dobroci i odwagi zdolałabym cokolwiek zdziałać. Postanowiliśmy oboje wynieść ją nocą, dyskretnie, na noszach. Ustaliłam to z dyrektorem szpitala, tak że nikt nie mógł jej zobaczyć. Nie wiem, czy uzgodnili, że powiadomią personel o jej śmierci, ale to bardzo prawdopodobne. Umieściliśmy ją na tylnym siedzeniu samochodu, była trzecia czy czwarta nad ranem, i pojechaliśmy obie do innego szpitala. W tamtych czasach nie było jeszcze wielu rogatek ze względu na Intifadę. Podróżujemy, kiedy noc zaczyna blednąć, o świcie przybywamy do szpitala, gdzie wszystko jest już przygotowane. Ordynator jest powiadomiony, poprosiłam, żeby nie wypytywano Souad o jej rodzinę, wio-ske czy rodziców. Szpital jest lepiej wyposażony, a przede wszystkim bardziej czystszy. Ma zapewnioną pomoc organizacji Kawalerów Maltanckich. Souad ładuje w pokoju. Będzie przychodzić do niej codziennie w oczekiwaniu na europejskie wizy i przede wszystkim będzie szukać dziecka. Ona nie mówi o nim ani słowem. Wydaje się, że wystarczy jej świadomość, że dziecko gdzieś tam żyje, i ta jej obojętność jest absolutnie zrozumiała. Ból, poniżenie, zmartwienie, depresja: nie jest zdolna ani psychicznie, ani fizycznie zaakceptować się w roli matki. Należy pamiętać, że warunki, w jakich przebywają niesłubne dzieci, pochodzące od matek uznanych za winne, więc skazanych na śmierć w imię honoru, są takie, że lepiej odseparować je od tej społeczności. Gdybym mogła pozostawić to dziecko w dobrych rekach, nie skazywałabym go na odrzucenie - zrobiłabym to. I dla dziecka, i dla matki byłoby to najlepsze rozwiązanie. Ale niestety, tak się tu nie stanie. Przez całe życie dziecko będzie żyło gdzieś w sierocincu, z piętnem do-mniemanego wstydu i winy swojej matki, narazone na pogardę. Muszę więc je stamtąd wyciągnąć, tak jak Souad. - Kiedy wyjeżdżamy? Myślała tylko o wyjeździe, pytała mnie o to podczas każdej wizyty. - Kiedy będziemy miały wizy. Będziemy je miały, nie martw się. Skarzy się na pielęgniarki, które zrywają z niej opatrunki bezwzględnie, zaczyna wyc, gdy tylko się zbliżają, czuje się maltretowana. Zdaje sobie sprawę, że warunki leczenia nie są tu idealne, chociaż bardziej higieniczne niż w poprzednim szpitalu. Ale co mogę na to poradzić, skoro wizy nie są jeszcze gotowe? A dokumenty tego typu nigdy nie są wystawiane dostatecznie szybko. W tym czasie podejmuje kroki w celu odszukania niemowlęcia, angażuje w to także przyjaciółki. Jedną z nich, tą, która opowiedziała mi o Souad, nawiązuje kontakt, dosyć ostrożny, z urzędniczką socjalną. Ta okazuje się jeszcze bardziej ostrożna i powściągliwa. Przyjaciółka opowiada mi, co udało się jej osiągnąć: - Powiedziała mi, że wie, gdzie ono jest. To chłopczyk, ale nie można go stamtąd zabrać, to absolutnie niemożliwe. A poza tym, i ja się z tym zgadzam, będzie to dodatkowe obciążenie i dla ciebie, i dla jego matki! Pytam więc o zdanie sama Souad: a.. Jak się nazywa twój syn? b.. Nazywa się Marouan. c.. To ty dasz mu takie imię? d.. Tak, ja. Lekarz mnie o to pytał. Souad ma momenty amnezji, a czasami przebliski świadomości i trudno mi się w tym wszystkim odnaleźć. Zapomniała o straszliwych okolicznościach swego porodu, zapomniała, że powiedziano jej, iż urodziła syna, i na początku nie powiedziała mi jego imienia. A po tym nagle: proste pytanie i natychmiastowa odpowiedź. Prowadzę rozmowę w tym samym kierunku: - Co o tym sądzisz? Wiesz, ja myślę, że nie wyjedziemy bez Marouana. Odszukam go, nie możemy go tutaj zostawić... Patrzy w dół, nie może inaczej, bo przecież broda przykleiła się jej do piersi. a.. Tak uważasz? a.. Tak, właśnie tak uważam. Ty stąd wyjedziesz, będziesz uratowana, ale warunki, w jakich przyjdzie żyć Marouanowi, będą dla niego prawdziwym piekłem. Już zawsze będzie synem dziwki, charyzmaty. Syn dziwki. Nie mów jej tego, ale ona musi o tym wiedzieć. Intonacja głosu w jej tak uważasz? zupełnie mi wystarcza. To intonacja pozytywna. Szukam więc tego dziecka. Odwiedzam na początku dwa lub trzy sierocince, usiłując zlokalizować niemowlę, które w chwili obecnej powinno mieć około dwóch miesięcy i ma na imię Marouan. Ale nigdzie go nie ma, nie mogę trafić na jego ślad. Urzędniczka socjalna nie lubi dziewcząt pokroju Souad. Jest Palestynka z dobrej rodziny, co nie przeszkadza w przestrzeganiu tradycji. Jednak bez niej mi się nie uda. Więc bez przerwy nalegam, w końcu, przede wszystkim ze względu na moją jordanскую przyjaciółkę, wskazuję mi miejsce, gdzie chłopca umieszczono. W tamtych czasach było to raczej schronienie dla szczerów niż sierociniec. A wyrwanie go stamtąd jest wyjątkowo skomplikowane. Dziecko jest więzieniem systemu, który go tam umieścił. Podejmuje odpowiednie działania, których meandry znajdują swój finał po jakichś dwóch tygodniach. Spotykam pośredników wszelkiej masy. Takich, którzy są zwolennikami skazania tego dziecka na taki sam los, jaki spotkał jego matkę, takich, którzy chętnie pozbyliby się związanym z nim kłopotów i jeszcze jednej geby do wyżywienia. Niektóre z tych dzieci umierają bez żadnego logicznego powodu. Spotykani wreszcie i takich, którzy mają serce i rozumieją moją determinację. Koniec końców znajduje się z dwumiesięcznym niemowlęciem w ramionach, ma małą główkę, trochę gruszkowatą, i niewielki garbek na czole w wyniku przedwczesnych narodzin. Ale jego stan jest dobry, co okazuje się prawdziwym wyczynem z jego strony. Nie poznał ani inkubatora, ani nie zaznał żadnej czułości. Pozostały tylko drobne ślady żółtaczki, klasycznej u noworodków. Balam się, że będzie z nim o wiele gorzej. Przecież jego matka plonęła jak pochodnia, kiedy on był jeszcze w jej łonie, a urodziła go w koszmarnych warunkach. Jest chudziutki, ale to nic. Przygląda mi się okrągłymi oczami, nie płacze, jest spokojny. Kim ja jestem? Zorro? Głupia jestem, przecież on nie wie, kto to jest Zorro... Wiem, jak postępować z dziećmi cierpiącymi na niedożywienie. W tamtych czasach mamy ich około szesćdziesięciorga w pewnej instytucji. Ale nie chcę go tam zawozić, biorę go do siebie, gdzie przygotowałam już wszystko, co może mu być potrzebne. Podróżowałam już z dziećmi dotkniętymi chorobą, zawoziłam je na operację do Europy. Na noc kładę Marouana, wykapanego, ubranego i nakarmionego, do wyłożonego posciela koszyka. Mam już wizy. Mam wszystko. Edmond Kaiser czeka na nas w Lozannie wraz z sekcją specjalizującą się w groźnych poparzeniach. Nazajutrz jest dzień wielkiego wyjazdu. Transport matki na noszach na międzynarodowe lotnisko w Tel Awiwie. Souad pozwala nam działać niczym małą dziewczynką. Strasznie cierpi, ale kiedy pytam ją: W porządku? Nie za mocno ci boli?, odpowiada mi po prostu: a.. Tak, boli mnie. - 1 nic więcej. b.. A gdybyś się trochę odwróciła, nie byłoby ci lepiej? c.. Tak, teraz jest lepiej. Dziękuję. Ciągłe: dziękuję. Dziękuję za fotel na kółkach na lotnisku, urządzenie, którego nie widziałam nigdy w życiu. Dziękuję za kawę ze słomką, żeby mogła ją wypić. Dziękuję za usadowienie jej w kacie na czas uprawomocnienia biletów. Ponieważ noszę ze sobą dziecko, które kępuje mi ruchy podczas złatwiania formalności, co zawsze trwa jakiś czas,

mówię do Souad: a.. Posłuchaj, położę ci małego na kolanach, nie ruszaj się... Ma trochę przerażone spojrzenie. Oparzenia nie pozwalają jej wziąć go w ramiona. Usiłuje przybliżyć go do dziecka z obu stron, sztywna z niepokoju. Przeżywa chwile strachu, kiedy powierzam jej dziecko. To dla niej ciężkie przeżycie. - Zostan tu. Zaraz wracam. Jestem zmuszona wciągnąć ją do pewnych działań przy naszej wyprawie, nie mogę popychać fotela na kółkach, trzymać dziecka i podchodzić do wszystkich stanowisk na lotnisku, gdzie mam pokazać mój paszport, wizy, przepustki i tłumaczyć, skąd się wziął mój dziwny ekwipunek. I to jest koszmar, ponieważ podróżni przechodzą obok niej i postrzępają ją jak wszyscy ludzie wobec niemowlęcia: Och, jaki piękny dzidzius! Ach, jaki jest słodki! Nawet nie patrzą na matkę, kompletnie zdeformowaną, z głową opuszczoną nad dzieckiem. Ma opatrunki pod szpitalną koszulą - zbyt trudno byłoby ją ubrać w jedną z moich welnianych marynarek - jest przykryta cienkim kocem. Nie może podnieść głowy, żeby powie-dzieć dziekuje przechodniom i tylko ja wiem, w jakiej panice wprawia ją to niemowlę, którym się tak zachwycają. Odchodząc od niej, by załatwić ostatnie formalności, mówię sobie, że ta scena jest zupełnie surrealistyczna. Siedzi na fotelu, zdeformowana, z niemowlęciem na kolanach. Przeżyła piekło, dziecko także, a ludzie przechodzą obok z uśmiechem: Och, jaki piękny dzidzius! W momencie wsiadania do samolotu pojawia się następny problem: jak pomóc jej wsiąść. Wciągnęłam już po schodkach fotel na kółkach, ale teraz zupełnie nie wiem co dalej. Izraelczycy znaleźli sposób. Przeprowadzili duży dźwig i oto Souad unosi się do góry w czymś w rodzaju kabiny zawieszanej na ramieniu tego dźwigu. Ka-bina wznosi się powoli, dociera na wysokość drzwi do samolotu i dwaj mężczyźni przenoszą Souad na fotel. Wykupiliam trzy miejsca z przodu, by ją położyć, a stewardesy roz-wiesiły wokół zasłone, aby osłonić ją od ciekawskich spojrzeń pasażerów. Marouan znalazł się w korytarzu należącej do towarzystwa lot-niczego. Przed nami lot bezpośredni do Lozanny. Souad się nie skarży. Staram się pomóc jej zmienić pozycję, ale nic nie jest w stanie przynieść jej ulgi. Tabletki przeciwbólowe nie na wiele się zdają. Jest trochę półprzeźroczysta, czasem pogrążona w półśnie, ale pełna zaufania. Czeka. Nie mogę jej nakarmić, podaje jej tylko jakieś napoje przez słomkę. Zajmuje się dzieckiem, przewijam je. Ona stara się na nie nie patrzeć. Cierpi z powodu tylu skomplikowanych rzeczy. Nie ma pojęcia, co to znaczy Szwajcaria, kraj, do którego ją wioze na leczenie. Nigdy przedtem nie widziała samolotu, dźwigu, tylu różnych ludzi krzątających się po międzynarodowym lotnisku. Wioze ze sobą coś w rodzaju małej, niepisemnej dzikuski, która do tej pory zdążyła poznać niewiele rzeczy, a większość z tego, co odkryła, było przerażające. Wiem także, że jej cierpienia jeszcze długo się nie skończą. Upłynie dużo czasu, zanim ta dziewczyna, to utrzymujące się przy życiu, stanie się znośnym życiem. Nie wiem nawet, czy można ją operować i czy przeszczepy są jeszcze możliwe. Potem wystąpi problem z integracją z zachodnim światem, nauka języka i cała reszta. My doskonale wiemy, że kiedy wyciągamy jakas ofiarę, jak powiada Edmond Kaiser, bierzemy odpowiedzialność na całe życie. Głowa Souad znajduje się koło okna. Nie sadzę, by była zdolna, w obecnym stanie, zastanowić się nad tym wszystkim, co ją czeka. Ma tylko nadzieję, nie zdając sobie do końca sprawy na co. - Widzisz to? To nazywamy chmurami. Spi. Niektórzy pasażerowie skarżą się na zapach, pomimo zaciąganietych wokół niej zasłon. Od dnia, kiedy odnalazłam Souad w tej makabrycznej umieralni w szpitalu, minęły dwa miesiące. Każdy centymetr jej skóry na klatce piersiowej zamienił się w ogromną, ropiejącą ranę. Pasażerowie mogą sobie kłócić nosem i stroić do stewardes miny z obrzydzenia, jest mi wszystko jedno. Wioze ze sobą spaloną kobietę i jej synka, pewnego dnia dowiedzą się dlaczego. Dowiedzą się także, że takich kobiet jest więcej, już martwych lub umierających, we wszystkich tych krajach, gdzie prawo mężczyzn ustanowiło zbrodnie honorowe. Tu, w Cisjordanii, ale także w Jordanii, Turcji, Iranie, Iraku, w Jemenie, Indiach, Pakistanie, a nawet w Izraelu i w Europie. Dowiedzą się, że nieliczne uratowane są zmuszone ukrywać się do końca życia, aby ich mordercy nie mogli ich odnaleźć, w najdalszych nawet zakątkach naszego globu. Bo zbrojcy ciągle szukają. Zwłaszcza gdy dowiedzą się, że większość stowarzyszeń humanitarnych nie ma prawa zajmować się tymi kobietami, bo są to przypadki indywidualne, kulturowe! I że w niektórych krajach prawo chroni takich zbrojczyń! Owe nie-szczesne kobiety nie wzbudzają na tyle dużego zainteresowania, nie powstają wielkie akcje jak w przypadku głodu, wojny, pomocy uchodźcom czy wielkich epidemii. Mogę to zrozumieć i przyjąć do wiadomości. Każdy spełnia swoją rolę na tym smutnym, ziemskim padole. A eksperyment, który właśnie przeprowadzam, dobrze pokazuje trudności i czas, jaki należy spędzić w danym kraju, by wślizgnąć się dyskretnie i powoli w jego obyczaje, zając się ocalałymi ofiarami zbrodni honorowej, pomóc im na własne ryzyko, i stanąć w obliczu zagrożenia. Souad jest moją pierwszą ocalałą tego typu, ale praca nie została zakończona. Ocalić ją od śmierci to jedna sprawa; inna - to pomóc jej dalej żyć. Szwajcaria Leżąc w samolocie, mogłam patrzeć na jego ładną, małą, śniadą buzię i białą czapkę na głowie. Zupełnie straciłam poczucie czasu i miałam wrażenie, że minęły zaledwie trzy tygodnie, podczas gdy Marouan miał już dwa miesiące. Jacqueline powiedziała mi, że przyjechałyśmy do Genewy 20 grudnia. Balam się, kiedy położyła mi go na kolanach. Moje ręce nie były w stanie go trzymać i byłam tak zakłopotana, zawstydzona i cierpia-ca, że nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, co się dzieje. Dużo spałam. Prawie nie przypominam sobie lądowania samolotu ani karetki, która zawiozła mnie do szpitala. Dopiero następnego dnia zrozumiałam, gdzie jestem. Z tego nadzwyczajnego dnia zapamiętałam głównie buzię Marouana i chmury. Zastanawiałam się, czym są te zabawne, białe... to coś po drugiej stronie okna, a Jacqueline wytłumaczyła mi, że byliśmy w niebie. Rozumiałam, że jedziemy do Szwajcarii, ale wtedy nic mi to nie mówiło. Myle słowa Szwajcaria i Żyd, bo wszystko, co znajduje się poza moją wioską, to znaczy na północy, jest krajem wrogim. Nie mam więc żadnego wyobrażenia o świecie, o innych krajach i ich różnych nazwach. Nie znam nawet mojego własnego kraju. Wzrastalam, rozumiejąc tylko jedną rzecz: jest moje terytorium i reszta świata. Wrogiego, jak mawiał mój ojciec, i w dodatku jedzą tam wieprzowinę! Jechałam więc mieszkać we wrogim kraju, ale pełna zaufania, bo była tam moja pani. W szpitalu ludzie dookoła mnie nie znali mojej historii. Jacek i Edmond Kaiser niczego nie powiedzieli. Byłam jednym wielkim poparzeniem i tylko to interesowało personel placówki. Zajęli się mną już następnego dnia, wzięto mnie na pierwszą, bardzo pilną operację, która polegała na odklejeniu podbródka i podniesieniu mi głowy. Ciało było żywą raną - trzydzieści cztery kilo oparzeń i kosi, prawie bez skóry. Za każdym razem, kiedy widziałam wózek pielęgniarki pełen lekarstw i czegoś więcej, płakałam już na zapas. Chociaż dawano mi środki przeciwbólowe, a pielęgniarka była bardzo delikatna. Obcinała martwą skórę,

ostrożnie, przytrzymując ją pesetką. Podawała mi antybiotyki, smarowała mascią. To już nie był horror wymuszanych pryszniców, brutalnego zrywania gazy, co przeżyłam w szpitalu w moim kraju. Następnie spróbowano rozluźnić mi ramiona, żebym mogła poruszać rękami. Początkowo wisiały po obu stronach ciała, zablokowane i sztywne niczym ręce lalki. Zaczęłam trzymać się prosto, spacerować po korytarzach, posługiwać się rękami i odkrywać ten nowy dla mnie świat, którego językiem nie potrafiłam mówić. Ponieważ nie umiałam ani pisać, ani czytać, nawet po arabsku, zamykałam się w ostrożnej ciszy, dopóki nie zarejestrowałam w sobie kilku podstawowych słów. Mogłam więc porozumiewać się tylko z Jacqueline i Hoda, które mówiły po arabsku. Edmond Kaiser był wspaniały. Podziwiałam go, jak nigdy w życiu nie podziwiałam żadnego mężczyzny. To był mój prawdziwy ojciec, teraz zdaje sobie z tego sprawę, ten, który zdecydował o moim życiu, który przysłał do mnie Jacqueline. Kiedy wyszłam z pokoju, żeby pójść do sali niemowląt, gdzie przebywał Marouan, najbardziej zaskoczyła mnie swoboda dziewcząt. Towarzyszyły mi dwie pielęgniarki. Były umalowane, uczesane, krótko ubrane i rozmawiały z mężczyznami. Mówiłam sobie: One rozmawiają z mężczyznami, one umra! Byłam tak zszokowana, że kiedy tylko mogłam, powiedziałam o tym Jacqueline i Edmondowi Kaiserowi: - Popatrz na tamtą dziewczynę, ona rozmawia z mężczyzną! Przecież oni ją zabijają. I ręka zrobiła ruch, jakby przy obcinaniu głowy. a.. Alez nie, oni są w Szwajcarii, to nie to samo co u ciebie, nikt nie obetnie jej głowy, to jest całkiem normalne. a.. Ale zobacz, widac jej nogi, to nie jest normalne, żeby było widac nogi. b.. Alez tak, to normalne, ona założyła bluzę do pracy. - I oczy. Czy to bardzo niedobrze pomalować sobie oczy? - Oczywiście, że nie, tutaj kobiety się malują, wychodzą, mają prąwo mieć przyjaciela. Ale nie u ciebie. Tutaj nie jesteś u siebie, jesteś w Szwajcarii. Nie umiałam sobie tego wyobrazić, nie mieściło mi się to w głowie. Sadzę, że niezłe wymeczylam Edmonda Kaisera, zadając mu ciągle te same pytania. Kiedy zetknęłam się z tym zjawiskiem po raz pierwszy, powiedziałam sobie: Nie zobaczę już nigdy więcej tej dziewczyny. Bo ona umrze. Jednak następnego dnia zobaczyłam, że nadal tu jest, i bardzo się z tego cieszyłam. Mówiłam do siebie: Bogu dzięki, jest żywa. Jest ubrana w tę samą białą bluzę, widac jej nogi, więc chyba mają rację, tutaj się za to nie umiera. Wierzyłam, że we wszystkich krajach dzieje się tak samo jak u mnie. Wystarczy, że dziewczyna tylko raz porozmawia z mężczyzną i ktoś ją przy tym zobaczy - jest już martwa. Szokował mnie również sposób, w jaki te dziewczyny poruszały się. Były zawsze uśmiechnięte, swobodne i chodziły jak mężczyźni... i widziałam bardzo dużo blondynek: a.. Dlaczego one są blondynkami? Dlaczego nie są śniade tak jak ja? Bo tu jest mniej słońca? Kiedy robi się cieplej, stana się całkiem czarne i będą miały krecone włosy? Och! Ona założyła krótkie rekawy. Popatrz, popatrz tam, dwie kobiety się śmieją! U nas kobiety nigdy się razem nie śmieją, kobieta nigdy nie włoży krótkich rekawów... b.. I one mają buty! c.. Poczekaj, jeszcze nie widziałas wszystkiego! Pamiętam ten dzień, kiedy po raz pierwszy mogłam obejrzeć miasto, sama z Edmondem Kaiserem. Jacqueline wyjechała już na kolejną misję. Zobaczyłam kobiety siedzące w restauracji, palące papierosy, z gołymi ramionami i piękną, białą skórą. Widziałam tylko blondynki o białej skórze, one mnie fascynowały. Zastanawiałam się, skąd one mogły pochodzić. U nas blondynki trafiają się tak rzadko, że mężczyźni bardzo je cenia, więc myślałam sobie, iż z tego powodu kobiety te są w niebezpieczeństwie. Edmond Kaiser udzielił mi wtedy pierwszej lekcji geografii. a.. One urodziły się białe, inne rodzą się z innym kolorem, w innych krajach. Ale tutaj, w Europie, są także czarnoskóre, białe, rude, z plamkami na twarzy... b.. Z plamami jak ja? c.. Nie, nie poparzone jak ty. Małymi plamkami z powodu słońca na ich białej skórze! Przyglądałam się, przez cały czas szukałam kobiety takiej jak ja i powiedziałam do Edmonda Kaisera: Niech mi Bóg wybaczy, ale bardzo chciałabym spotkać jakąś inną spaloną kobietę, nigdy takiej nie widziałam. Dlaczego jestem jedyną spaloną kobietą? Jeszcze do dziś zachowałam tamto uczucie, że jestem jedyną na ziemi spaloną kobietą. Gdybym była ofiarą wypadku, to nie byłoby to samo. To by było przeznaczenie, a na przeznaczenie nie można nic poradzić. Noca sniły mi się koszmary, ciągle powracała twarz mojego szwagra. Czulałam, że kręci się wokół mnie i słysze, jak mówi: Zaraz się toba zajmie... I biegłam z tym ogniem na sobie. Myślałam także o tym podczas dnia, nagle, i ogarniało mnie pragnienie, żeby umrzeć, by więcej nie cierpieć. Już przez całe życie będę się czuła spaloną w innym sensie. Przez całe życie będę musiała się ukrywać, nosić długie rekawy, ja, która marzyłam o krótkich rekawach jak u innych kobiet, nosić bluzki za-pięte pod szyję, ja, która marzyłam o dekoltach jak u innych kobiet. One mają taką wolność. Ja jestem więzieniem we własnej skórze, nawet jeśli chodzi wolna po ulicach w tym wolnym mieście. Tak więc pewnego razu spytałam, bo miałam wielką na to ochotę, czy będę mogła mieć kiedyś złoty, błyszczący zab. Edmond Kaiser odpowiedział mi z uśmiechem: Nie, najpierw musisz się leczyć, po-tem porozmawiamy o twoich zębach. U nas złoty zab jest czymś wspaniałym. Wszystko, co się błyszczy, jest wspaniałe. Chyba musiałam go zaskoczyć tym dziwnym pytaniem. Nie miałam nic własnego, ciągle leżałam, od czasu do czasu spacerowano ze mną między kolejnymi zabiegami, całymi tygodniami nie mogłam brać prysznicu. Nie było mowy, bym mogła w coś się ubrać, zanim rany się nie zabliznią, chodziłam w nocnej koszuli, pokryta opatrunkami. Nie mogłam czytać, bo nie potrafiłam. Nie mogłam rozmawiać, bo pielęgniarki mnie nie rozumiały. Przed wyjazdem Jacqueline zostawiła mi karteczki z arabskimi słowami zapisanymi fonetycznie i ich francuskimi znaczeniami. Jesc, spac, toaleta, boli, nie boli, wszystko to, co mogło się przydać podczas leczenia. Kiedy już wstałam, często stawałam w oknie. Patrzałam na miasto, na światła i górę nad miastem. To był wspaniały widok. Patrzałam na ten spektakl z otwartymi ustami. Miałam ochotę wyjść i pójść na spacer, nigdy czegoś podobnego nie widziałam, to wszystko było takie piękne. Każdego ranka chodziłam do Marouana. Musiałam wyjść z budynku, żeby dostać się na oddział noworodków. Było mi zimno. Miałam na sobie tylko te szpitalne koszule, zapinana na plecach, szpitalny szlafrok, szpitalne buty oraz szpitalną szczoteczkę do zębów. To był mój cały stan posiadania. Więc szłam bardzo szybko, z opuszczoną głową, jak u siebie. Pielęgniarka mówiła mi, bym poruszała się delikatniej, ale ja nie chciałam. Chciałam udawać dumę tam, na zewnątrz, bo nadal żyłam, choć ciągle jeszcze się balam. Pielęgniarki i lekarze nie mogli nic na to poradzić. Miałam wrażenie, że jestem jedyną na świecie spaloną kobietą. Byłam ponizona, winna, nie mogłam się tego pozbyć. Czasem, gdy już leżałam w łóżku, myślałam sobie, że po-winnam być umrzeć, bo na to zasługiwałam. Pamiętam, że kiedy Jacqueline zawiozła mnie ze szpitala na lotnisko, przed odlotem do Lozanny, miałam wtedy wrażenie, iż jestem workiem na śmiecie. Mogła rzucić mnie w jakiś kat i pozwolić mi zgnić. Ta myśl, wstyd, że jestem

tym, kim jestem, wracała do mnie regularnie. Tak więc zaczęłam zapominac moje wcześniejsze życie, chciałam być kims innym w tym nowym kraju. Być jak te wolne kobiety, zintegrować się, nauczyć się tu żyć, i to jak najszybciej. Podczas długich lat pogrzebałam moje wspomnienia. Moja wioska, moja rodzina - nie powinno to już istnieć w mojej głowie. Ale był Marouan i pielęgniarki, które uczyły mnie, jak dawać mu butelkę, przewijac, jak być matką przez kilka minut dziennie, na miarę moich możliwości fizycznych. I niech mi mój syn wybaczy, ale robienie tego, czego ode mnie oczekiwano, było dla mnie bolesnym przeżyciem. Nieswiadomie czułam się winna, że jestem jego matka. Kto mógłby to zrozumieć? Byłam niezdolna do podjęcia takiej odpowiedzialności, do wyobrażenia sobie jego przyszłości ze mną i moimi poparzeniami. Jak mu powie-dzieć, kiedyś, że jego ojciec był lajdakiem? Jak sprawić, by sam nie czuł się winny temu, co mnie spotkało i kim się stałam? Okaleczonym ciałem, przerażającym widokiem. Ja sama już nie potrafiłam sobie wyobrazić, jaka byłam przedtem. Czy byłam ładna? Czy miałam gładką skórę? Kragle ramiona i uwodzicielskie piersi? Były lustra i spojrzenia innych. W nich widziałam, że jestem brzydka i godna pogardy, zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz. Worek na smiecie. Ciagle jeszcze cierpiałam. Zajmowano się moim ciałem, przywracano mi siły fizyczne, ale w mojej głowie nie działo się zbyt dobrze. Nie tylko dlatego, że nie umiałam tego wyrazić, ale słowo depresja było mi całkowicie nieznaną. Poznałam je dopiero wiele lat później. Myślałam jedynie, że nie mogę się skarżyć, i w taki sposób pogrzebałam tak głęboko dwadzieścia lat mego życia, że nawet teraz przywoływanie wspomnień jest dla mnie bardzo bolesne. Myślałam, iż mój mózg nie mógł postąpić inaczej, jeżeli chciał przetrwać. A potem, podczas długich miesięcy, następowały przeszczepy. W sumie dwadzieścia cztery operacje. Moje nogi nie były spalone, więc służyły jako dawca skóry. Pomiedzy każdą kolejną operacją trzeba było czekać na zabliźnianie się ciała. A potem następny zabieg. Az do czasu, gdy nie miałam już więcej skóry do dawania. Przeszczepiona skóra długo była wrażliwa, potrzeba było wielu działań, by ją ujednolicić i nawilżyć. Nadal tego potrzebuje. Edmond Kaiser postanowił mnie ubrać. Zaprowadził mnie do dużego sklepu. Tak dużego i pełnego butów i ubrań, że nie wiedziałam, na co mam patrzeć. Nie chciałam haftowanych bamboszy, jakie nosi się w moim kraju. Pragnęłam także prawdziwych spodni, nie szero-kich pantalonów. Widziałam już dziewczyny w takich spodniach, gdy jeździłam z ojcem furgonetką na targ, by sprzedać warzywa i owoce. Nosily modne spodnie, bardzo rozszerzane dołem, nazywano je charlestonami. To były złe dziewczyny, ja nie miałam prawa nosić takich spodni. Nie dostałam moich charlestonów. Edmond Kaiser kupił mi parę czarnych butów na niewielkim obcasie, normalne jeansy i bardzo ładny sweterek. Byłam rozzarowana. Czekalam na te nowe ubrania od dziewięciu miesięcy, marzyłam o nich. Ale uśmiechnęłam się i powiedziałam dziękuję. Nabralam zwyczaju uśmiechania się do ludzi bez przerwy, a ich to bardzo dziwiło. A także to, że ciagle mówię dziękuję. Uśmiech był moją odpowiedzią na ich uprzejmość, ale równieź, przez długi czas, moja jedyna metoda porozumienia. Żeby płakać, chowałam się... stare przyzwyczajenie. Uśmiech był znakiem in-nego życia. Tutaj ludzie byli uśmiechnięci, nawet mężczyźni. Bardzo chciałam się uśmiechać. A mówienie dziękuję było taka prosta sprawa. Przedtem nikt nigdy nie powiedział mi dziękuję. Ani ojciec, ani brat, ani nikt inny, kiedy pracowałam jak niewolnica. Byłam przy-zwyczajona do razów, nie do podziękowań. Uważałam, że dziękuję jest wyrazem grzeczności i dużego szacunku. Sprawiało mi przyjemność wymawianie tego słowa, bo do mnie też je mówiono. Dziękuję za opatrunek, za tabletkę nasenną, za krem, żeby nie rozerwać sobie skóry, za posiłek, a przede wszystkim za czekoladę. Pozeralam całe tabliczki czekolady... To było takie pyszne, takie pocieszające. Więc powiedziałam dziękuję Edmondowi Kaiserowi za spodnie, buty i ładny sweterek. - Souad, tutaj jesteś wolna kobieta, możesz robić wszystko, na co masz ochotę, ale radzę ci ubierać się prosto, nosić rzeczy, które do ciebie pasują i nie drażnią ci skóry, postaraj się nie rzucić zbyt w oczy. Miał rację. W kraju, który przyjął mnie z taką dobrocią, nadal jeszcze byłam małą pasterką z Cisjordanii, nieokrzesana, bez szkoły i bez rodziny, która marzyła o złotym zebie! Opuszcila szpital i umieszczono mnie w ośrodku pomocy społecznej, prawie w rok po moim tutaj przybyciu. Kontynuowano przeszczepy. Wracałam do szpitala, żeby tam cierpieć. W mojej głowie nie zawsze dobrze się działo, ale jakos to przeżyłam. Nie mogłabym zadac więcej. Uczylałam się francuskiego jak mo-głam, zwrotów, kawalków zdań, które powtarzałam jak papuga, chociaż nie wiedziałam nawet, co to jest papuga! Jacqueline wytłumaczyła mi później, że wtedy, gdy przywiozła mnie do Europy, moje częste pobytu w szpitalu nie pozwalały zapi-sać mnie na regularne kursy językowe. Ważniejsze było ocalenie mojej skóry niż wysłanie mnie do szkoły. Zreszta wcale o tym nie myślałam. W mojej wiosce były tylko dwie dziewczynki, które co rano wsiadały do autobusu i jechały do miasta do szkoły, wszyscy się z nich wysmiewali. Ja sama też z nich kpila, przekonana, jak moje siostry, że skoro chodzą do szkoły, to nigdy nie znajdą sobie meza! Moim największym, starannie ukrywanym wstydem było to, że nie mam meza. Nadal pozostała we mnie mentalność mojej wioski, to było bardzo silne. I wmawiałam sobie, że już żaden mężczyzna mnie nie zechce. A dla kobiety z mojego kraju życie bez mężczyzny jest naj-wieksza kara w życiu. W domu, który przyjął mnie wraz z Marouanem, myślano, że przy-zwyczaję się do tej podwójnej kary: jestem brzydka i nie będzie mnie pragnął żaden mężczyzna. Myślano także, że będę mogła zająć się moim synem, że będzie możliwe moje pójście do pracy, abym mogła go wychowac. Jedynie Jacqueline zdała sobie sprawę, że zupełnie nie jestem do tego zdolna. Najpierw dlatego, że potrzebowałam lat na to, by ponownie stać się istotą ludzką i zaakceptowac siebie taką, jaka się stałam. A dziecko mi w tym przeszkadzało. Następnie dlatego, że pomimo moich dwudziestu lat, nadal byłam dzieckiem. Nie wiedziałam niczego o życiu, o odpowiedzialności, o niezależności. Wtedy właśnie opuścila Szwajcarię. Moje leczenie zostało zakończona, mogłam więc zamieszkać gdzie indziej. Jacqueline znalazła rodzinę zastępczą, gdzieś na terenie Europy. Przybranych rodziców, których bardzo pokochałam i nazywałam tata i mama, tak jak Marouan. To małżeństwo przyjmowało wiele dzieci przysyłanych tu przez Ziemię ludzi. Jedne zostawały na dłużej, inne były adoptowane. Rodzina była zawsze bardzo liczna. Trzeba było zająć się najmłodszymi, więc pomagałam, jak mogłam. Pewnego dnia mama powiedziała mi, że za dużo zajmuje się Marouanem, a za mało innymi dziećmi. Ta uwaga mnie zdziwiła, bo nie miałam wrażenia, że poświęcam się mojemu synowi. Byłam na to za bardzo zagubiona. Jedynymi momentami samotności były moje spacery wzdłuż rzeki z Marouanem w wózku. Odczuwałam potrzebę chodzenia, przebywania na zewnątrz. Nie wiem, dlaczego tak bardzo pragnęłam spacerowac samotnie po wsi, może to dawne przyzwyczajenie chodzenia ze stadem. Jak wtedy brałam ze sobą wodę i coś do

jedzenia i pchalam wózek, idac szybko, wyprostowana i dumna. Mialam podwójna osobowosc: chodzila szybko jak w moim kraju, a wyprostowana i dumna jak w Europie. Bardzo mocno sie staralam, by robic wszystko to, o czym mówila mama, to znaczy pracowalam wiecej, pomagajac jej leczyc dzieci. To bylo normalne, bylam przeciez najstarsza. Ale kiedy juz zamknelam sie w tym domu, zaczelam umierac z checi wyswobodzenia sie stad, pragnelam pójsc miedzy ludzi, rozmawiac, tanczyc, spotkac jakiegos mezczyzne, zeby sprawdzic, czy moze jeszcze byc kobieta. Potrzebna byla mi taka próba. Bylam szalona, ze mialam takie marzenia, ale to bylo silniejsze ode mnie, chcialam spróbowac zyc na nowo. Marouan Marouan mial piec lat, kiedy podpisalam papiery, pozwalajace naszej rodzinie zastepczej na jego adopcje. Zrobilam pewne postepy w jezyku i chociaz nadal nie potrafilam ani czytac, ani pisac, wiedzialam, co robie. To nie bylo porzucenie. Moi nowi rodzice mieli wychowac ma-lego chlopca najlepiej, jak mozna. Stajac sie ich synem, mial szanse dostepu do prawdziwego wychowania, mógł nosic nazwisko, które calkowicie chronilo go przed moja przeszloscia. Bylam zupełnie nie-zdolna do zapewnienia mu nalezytej równowagi, opieki i normalnej szkoly. Teraz jeszcze, wiele lat później, czuje sie winna, ze dokonalam takiego wyboru. Jednak przez ten czas moglam na nowo odbudowac moje zycie, w co nie bardzo smialam uwierzyc, choc instynktownie to przeczuwalam. Nie potrafie zbyt dobrze wytлумaczyc pewnych rzeczy, nie wylewajac przy tym morza lez. Przez te wszystkie lata chcialam przekonac sama siebie, ze nie bede cierpiec z powodu te-go rozstania. Ale nie mozna zapomniec własnego dziecka, zwłaszcza takiego dziecka. Wiedzialam, ze jest szcieszliwy, a on wiedzial, ze ja istnieje. W wieku pieciu lat nie mógł nie wiedziec, ze ma prawdziwa matke, poniewaz mieszkalismy razem w tej rodziny zastepczej. Nie wiem, jak mu wytлумaczono moje odejście, ale rodzina przyjmowala duza liczbe dzieci z calego swiata i pamietam, ze w pewnym okresie bylo nas osiemnascioro przy stole. W wiekszosci dzieci chore i zagubione. Wszyscy nazywalismy zastepczych rodziców tata i mama. Ci wspaniali ludzie otrzymywali jakies pieniadze z Ziemi ludzi, srodki potrzebne na tymczasowe utrzymanie niektórych z tych dzieci, a kiedy odjezdzały, zawsze to bylo bardzo bolesne. Widzialam, jak rzucaly sie na szyje taty i mamy i nie chialy stad wyjezdzac. Ale ten dom byl jedynie przystankiem, miejscem, w którym mialy docho-dzic do zdrowia - wiekszosc z nich mieszkala u naszych zastepczych rodziców przed lub po koniecznej operacji, której nie mozna bylo przeprowadzic w ich rodzinnych krajach, a potem tam wracaly. Mia-ly wiec gdzies na swiecie swój własny kraj i własna rodzine. Te, które nie mogly nigdzie wyjechac, jak Marouan i ja, byly adoptowane. Ja umarlam formalnie w Cisjordanii, a Marouan w ogóle w niej nie ist-nial. Oficjalnie narodzil sie tutaj, 20 grudnia, jak ja do nowego zycia. A jego rodzice byli takze moimi. Trzeba przyznac, ze ta sytuacja by-la troche dziwna i kiedy opuscilam ten goscinny dom, w którym mieszkalam z moim synem przez cztery lata, mialam wrazenie, ze jestem raczej starsza siostra Marouana niz jego matka. Mialam dwa-dziescia cztery lata. Nie moglam dluzej pozostawac na ich utrzyma-niu. Powinnam zaczac pracowac, zdobyc niezaleznosc, stac sie w koncu dorosla. Gdybym nie zdecydowala sie na pozostawienie go w tamtym do-mu, sama nie moglabym go wychowac. Bylam matka depresyjna, przenosilabym na jego barki swoje własne cierpienia, nienawisc do mojej biologicznej rodziny. Musialabym mu opowiedziec rzeczy, o których tak bardzo chcialam zapomniec! Nie moglam, to bylo ponad moje sily. Nie mialam pieniedzy, bylam chora, bylam uchodzca i bylam skazana na falszywa tozsamosc przez reszte mojego zycia, bo pochodzilam z wioski, gdzie mezczyzni sa lajdakami i okrutnikami. I musialam wszystkiego sie nauczyc. Jedynym wyjsciem dla mnie by-lo rzucic sie glowa naprzód w ten nowy kraj, jego obyczaje i próbo-wac przezyc. A Marouan musial pozostac na uboczu mojej osobistej wojny. Mówilam sobie: teraz jestem tutaj, musze zintegrowac sie z tym krajem, nie mam innego wyboru. Nie chcialam, zeby ten kraj zasymilowal sie ze mna, to ja powinnam sie z nim zasymilowac, od-budowac sie od nowa. Mój syn dobrze mówil tutejszym jezykiem, mial europejskich rodziców, papiery, normalna przyszlosc, to wszystko, czego sama nigdy przedtem nie mialam. Wtedy tez nie mialam. Chcialam nauczyc sie zyc i pozwolic zyc takze jemu. Wiedzialam, ze bedzie mu dobrze w tej rodzinie, sama tam przeciez mieszkalam. Kiedy rozmawialismy o adopcji, pojawila sie mozliwosc zabrania go przez inna rodzine, ale Nie, nie chce innej rodziny! Marouan zostanie tutaj albo nigdzie. Mieszkalam razem z wami, wiem, jak bedzie tu wychowywany, nie chce, zeby umiesz-czono go w jakiej innej rodzinie. Tata dal mi slowo. Mialam dwadziescia cztery lata, ale mentalnie nie osiagnelam jeszcze pietnastu. Pozostawalam zablokowana w moim dzieciństwie przez zbyt wiele nieszczesc. Mój syn stanowil czesc tego zycia, o którym musialam zapomniec, by stworzyc sobie nowe. W tamtych czasach nie umialam sobie tak jasno tego wytłuma-czyc, bylo wrecz przeciwnie. Posuwalam sie do przodu, dzien po dniu, niczym we mgle, instynktownie. Ale bylam pewna przynaj-mniej jednej rzeczy, mój syn mial prawo do bezpieczenstwa i normalnych rodziców. A ja nie bylam normalna matka. Nienawidzilam siebie, plakalam nad moimi oparzeniami, które mialy juz pozostac do konca zycia. Na samym poczatku, w szpitalu, myslalam, ze wszyscy ci wspaniali ludzie zwróca mi moja skóre i znowu bede wygladac jak przedtem. Kiedy dowiedzialam sie, ze moga mi zwrócić tylko zycie, ze pozostane w tej koszmarnej powloce do konca moich dni, zamknelam sie w sobie. Bylam niczym, brzydka, powinnam sie ukrywac, by nie krepowac innych. Wraz z uplywem lat, kiedy powoli zaczynalam poznawac smak zy-cia, chcialam zapomniec Marouana, przekonana, ze jemu i tak udalo sie bardziej niz mnie. Chodzil do szkoly, mial rodziców, braci, siostry i z pewnością byl szcieszliwy. Ale pozostal, schowany w zakamarkach mojej glowy. Zamykalam oczy i juz tam byl. Bieglam po ulicy, byl tam, za mna, przede mna lub obok mnie, kiedy uciekalam, on mnie doganial. Ciagle widzialam ten obraz dziecka, które pielegniarka kladla mi na kolanach i którego nie moglam wziac w ramiona, poniewaz bieglam przez ogród, na mnie byl ogien, a moje dziecko plonelo razem ze mna. Dziecko, którego ojciec nie chcial, doskonale wiedzac, ze skazuje nas oboje na pewna smierc. I pomyslec, ze tak kochalam tego czlowieka i wiazalam z nim tyle nadziei! Balam sie, ze juz nie znajde innego. Z powodu moich blizn, mojej twarzy, mojego ciala i tego, czym sama bylam w srodku. I zawsze ta mysl, ze nie jestem nic warta, ten strach, ze sie nie podobam, widok odwracajacych sie ode mnie spojzen. Zaczelam pracowac na pewnej farmie, a potem, dzieki tacie, dostalam prace w fabryce, która produkowala precyzyjne czesci. Praca by-la czysta i zarabialam calkiem niezle. Sprawdzalam mechaniczne urzadzenia na tasmociagu. Byl inny dzial w tej fabryce, ale tam trze-ba bylo sprawdzac te czesci na komputerze, a ja nie czulam sie do te-go zdolna. Odmawialam nauczzenia sie pracy na tym stanowisku, twierdzac, ze wole pracowac na stojaco, przy tasmie, ze nie lubie sie-dziec. Pewnego dnia wezwala mnie szefowa: a..

Souad? Proszę pójść ze mną. b.. Tak, proszę pani. c.. Niech pani tu usiądzie, obok mnie, proszę trzymać tę myszkę, wszystko pani pokazuje! d.. Ale ja nigdy tego nie robiłam, nie nauczyłam się. Wolałam tasmociąg... e.. A jeśli pewnego dnia nie będzie już pracy przy tasmie? To co wtedy zrobimy? Zupełnie nic? Nie będzie pracy dla Souad? Nie osmieliłam się powiedzieć jej: nie. Nawet jeśli się bałam. Za każdym razem, kiedy miałam się nauczyć czegoś nowego, miałam wilgotne ręce i drżące nogi. To była całkowita panika, ale zaciskałam zęby. Musiałam się uczyć każdego dnia, o każdej godzinie, nie miałam żadnego bagażu wiedzy, niezdolna do czytania i pisania, jak wszyscy inni. Analfabietka, która nigdy się niczego nie uczyła! Ale tak bardzo chciałam pracować, że ta kobieta postanowiła w końcu wylać mi kubek zimnej wody na głowę. Tak więc nauczyłam się manipulować myszką i rozumieć ekran komputera. Po paru dniach już mi jakos szło. Wszyscy byli ze mnie zadowoleni. Przez trzy lata pracy nigdy nie spóźniłam się nawet o minutę, moje stanowisko zawsze było nieskazitelną - dokładnie sprzątałam je przed wyjściem - zawsze byłam punktualna, przychodziłam przed innymi. Wytresowano mnie w dzieciństwie uderzeniami kiją do intensywnych prac i posłuszeństwa, do punktualności i czystości. To była moja druga natura, jedyne, co mi pozostało z poprzedniego życia. Mówiłam sobie: Nigdy nie wiadomo, może jutro ktoś będzie tu chciał przyjść, nie mogę pozwolić, by zastał moje miejsce brudne... W pewnym sensie jestem maniaczką porządku i czystości. Kiedy bierze się jakąś rzecz, należy potem odłożyć ją na właściwe miejsce, codziennie trzeba brać prysznic, żeby myć się trzy razy dziennie, natomiast włosy dwa razy w tygodniu, bieliznę zmienia się codziennie... Wszędzie szukam czystości, to dla mnie bardzo ważne, chociaż nie umiem tego wytłumaczyć. Lubie wybierać ubrania, ale w tym przypadku rozumiem dlaczego: bo nigdy przedtem nie miałam wyboru, bo było to zabronione. Na przykład lubie czerwien, bo matka zawsze mówiła: To twoja sukienka i masz ją nosić. Była brzydka i szara, ale, chociaż jej nie lubiłam, musiałam ją zakładać. Dlatego lubie czerwien, zielen, niebieski, żółty, czarny, brązowy, wszystkie kolory, które były zabronione. Jeśli chodzi o fason, to nie mam wyboru. Golf, i bez wycięcia pod szyją, zapięta wysoko bluzka koszulowa, spodnie i włosy na uszach. Nie mogę niczego pokazywać. Czasami chodziłam posiedzieć na tarasie kawiarni, opatulona w swoje ubrania, zarówno latem, jak zimą, i przyglądałam się przechodzącym ludziom. Kobietom w minispódniczkach lub z dużymi dekolacjami, z ramionami i nogami wystawionymi na spojrzenia mężczyzn. Wśród tych męskich spojrzeń czatowałam na takie, które spoczęłyby na mnie, ale takiego nie było, więc wracałam do domu. Az pewnego dnia spostrzegłam przez okno mojego pokoju samochód i mężczyznę w środku; widziałam jedynie jego ręce i kolana. Zakochałam się. To był jedyny mężczyzna na calutkiej ziemi. Widziałam tylko jego ręce i nogi, z powodu tego samochodu, ale to mi wystarczyło. Nie zakochałam się w nim dlatego, że był przystojny, miły, czuły, że mnie nie bil lub że czułam się przy nim bezpieczna. Zakochałam się, bo umiał prowadzić samochód. Wystarczyło, że parkował go pod domem, a już serce zaczynało mi walić. Być tutaj tylko po to, by pa-trzec, jak wsiada czy wysiada z samochodu, jak jedzie do pracy albo z niej wraca... i już zaczynałam płakać! Rano drżałam ze strachu, że nie wróci wieczorem. Zdałam sobie sprawę, że teraz jest tak samo, jak za pierwszym razem. Trzeba było, żeby ktoś mnie zauważył, że muszę coś z tym zrobić. Samochód i mężczyzna, który odjeżdża lub przyjeżdża pod moje okno, którego kocham, nie mówiąc mi o tym, czatuje pełną niepokoju, że samochód już nigdy nie wróci. To było proste. W tamtych czasach nie zastanawiałam się nad tym, co będzie dalej. Czasami próbowałam sięgnąć do pamięci i zrozumieć przyczynę pewnych rzeczy, które wydarzyły się w moim życiu, ale szybko rezygnowałam; to było dla mnie zbyt skomplikowane. Samochód Antonia był czerwony. Tkwiłam w oknie, dopóki nie zniknął mi z pola widzenia... Wtedy zamykałam okno. W końcu go spotkałam, rozmawiałam z nim, wiedziałam, że ma dziewczynę, którą znalazłam, tak więc czekałam. Najpierw zostaliśmy przyjaciółmi. Minęło co najmniej dwa i pół roku, może trzy, zanim ta przyjazn przekształciła się w coś innego. Ja byłam zakochana, ale on... nie wiedziałam, co o mnie myśli. Nie śmiałam go o to zapytać, ale starałam się, jak mogłam, żeby mnie pokochał i bym mogła go przy sobie zatrzymać. Chciałam mu wszystko oddać, służyć mu, rozpieszczać, karmić, robić wszystko, żeby chciał być ze mną! To był jedyny sposób, jaki znałam. Nie znajdowałam innego. Bo niby jak mogłabym go uwieść? Moimi pięknymi oczami? Zgrabnymi nogami? Ładnym, gładkim dekoltem? Najpierw zamieszkalismy ze sobą, bez ślubu, i potrzebowałam sporo czasu, by poczuć się w miarę swobodnie. Żadnego światła, kiedy się rozbierałam, czasem świecę. Rano jak najszybciej zamykałam się w łazience i pojawiałam się w zapiętym od stóp do głów szlafroku. To wszystko trwało bardzo długo. Nawet jeszcze dzisiaj mnie to kępuje. Wiem, że one nie są ładne, te moje blizny. Na początku wspólnego życia przeprowadziliśmy się do kawalerki w mieście. Obydwoje pracowaliśmy. On zarabiał na utrzymanie, ja także. I czekałam, by poprosił mnie o rękę, ale on o tym nie mówił. A ja marzyłam o pierścieniu, o ceremonii, dlatego postępowałam z Antoniem tak samo, jak moja matka z ojcem, robiłam to samo, co wszystkie kobiety z mojej wioski robiły dla swoich mężów. Specjalnie dla niego wstawiałam o piątej rano, by umyć mu stopy i włosy. Zeby podać mu czyste, starannie wyprasowane ubranie. Żeby patrzeć, jak odjeżdża do pracy, jeszcze raz pomachać mu ręką i przesłać przez okno pocałunek... I czekałam na niego wieczorem, z przygotowanym posiłkiem, do północy, w pół do pierwszej, czasem nawet, jeśli tak wypadło, do pierwszej w nocy, by zjeść razem z nim. Choćbym była nie wiem jak głodna, czekałam na niego tak, jak robiły to kobiety z mojej wioski. Różnica polegała na tym, że sama sobie wybrałam tego mężczyznę, nikt mi go nie narzucił, no i że go kochałam. Dla niego to musiałoby być bardzo dziwne. Mężczyzna z Zachodu nie jest przyzwyczajony do czegoś takiego. Na początku mówił mi: Super! Bardzo ci dziękuję, mogę zaoszczędzić trochę czasu i pozbawię cię kłopotu. Był szczęśliwy. Kiedy wracał wieczorem do domu, siadał w fotelu, a ja zdejmowałam mu buty i skarpetki. Wkładalam mu kapcie. Byłam całkowicie do jego dyspozycji, żeby tylko zatrzymać go w domu. Każdego dnia bałam się, że spotka jakąś inną kobietę. A kiedy wracał wieczorem i jadł posiłek, który dla niego przygotowałam, byłam spokojna i szczęśliwa... aż do następnego dnia. Ale Antonio nie chciał się żenić, nie chciał mieć dzieci. A ja bardzo tego chciałam. Nie był jeszcze gotowy. Szanowałam jego zdanie, licząc, że to się zmieni. Czekalam siedem lat. Antonio wiedział, że mam dziecko, które zostało adoptowane. Musiałam opowiedzieć mu najważniejsze wydarzenia z mojego życia, wytłumaczyć, skąd mam te blizny po oparzeniach, ale kiedy wszystko zostało raz powiedziane, więcej nie wracaliśmy do tego tematu. Antonio uważał, że znalazłam dla mojego dziecka najlepsze rozwiązanie. Marouan należał do innej rodziny, nie mogłam zbyt wiele powiedzieć o jego życiu. Dosyc

regu-larnie otrzymywałam o nim wiadomości, ale bałam się pojechać tam, żeby go zobaczyć. Przez te wszystkie lata byłam tam tylko trzy razy. Na czubkach palców. W końcu przyzwyczałam się do tego dodatkowego poczucia winy. Tak bardzo starałam się o wszystkim zapomnieć, że prawie mi się udało. Ale chciałam mieć jeszcze chociaż jedno dziecko. Najpierw wyjść za mąż, to była konieczność. Musiałam poukładać sobie życie według ustalonej kolejności: mąż, rodzina. Miałam trzydzieści lat w dniu tego wyczekiwanego ślubu. Antonio był gotowy, nasza sytuacja się poprawiła, mogliśmy zamienić kawalerkę na mieszkanie. Teraz on także chciał mieć dziecko. To był mój pierwszy ślub, moja pierwsza suknia i pierwsze piękne buty. Długa spódnica ze skóry, koszulowa bluzka ze skóry, zakiet ze skóry i eleganckie pantofle na obcasach. Wszystko było z białej skóry. Skóra jest gietka, a także drogo kosztuje. Lubie wrażenie, które wywołuje na mojej własnej skórze. W sklepach nigdy nie mogłam przejść obok skórzanych ubrań, żeby ich nie dotknąć, wziąć w palce, sprawdzić ich elastyczność. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego to robie, teraz już wiem. To jest tak, jakbym zmieniała skórę. To tak-że pewien rodzaj obrony, sposób na pokazanie innym ładnej skóry, nie mojej własnej. Tak jak uśmiech, sposób na ofiarowanie komuś szczęścia, niekoniecznie mojego. Ten ślub był radością mojego życia. Jedyną taką radością, jakiej przedtem zaznałam, było moje pierwsze spotkanie z ojcem Marouana. Ale już o tym nie myślałam. To zdolałam wypędzić z mojej głowy. Kiedy zaszłam w ciążę, byłam w siódmym niebie. Laetitia była naprawdę upragnionym dzieckiem. Ciągle do niej mówiłam, kiedy była jeszcze w moim brzuchu, byłam dumna, że mogę go pokazać, nosiłam obcisłe, uwydatniające ciążę ubrania. Chciałam, by wszyscy wiedzieli, że spodziewam się dziecka, żeby wszyscy widzieli mój pierscionek i obrączkę. Cała moja postawa w tamtym czasie była całkowitą odwrotnością tego, co robiłam podczas pierwszej ciąży, ale nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wtedy musiałam się ukrywać, kłamać i modlić się o ślub, błagać, żeby moje dziecko nie urodziło się z mojego brzucha, rzucając dyshonor na całą moją rodzinę. A tu-taj zylam, chodziłam po ulicach z tym nowym brzuchem i nowym dzieckiem. Sądziłam, że wymażę całą przeszłość moim obecnym szczęściem. Wierzyłam w to, bo pragnęłam tego ze wszystkich sił. W jakimś zakątku mojej głowy ukrył się mały Marouan. Być może pewnego dnia będę zdolna stawiać mu czoło, opowiedzieć mu o wszystkim, ale jeszcze nie skończyłam się odradzać. Laetitia pojawiła się niczym kwiat. Starczyło mi czasu, by powiedzieć lekarzowi: a.. Myślę, że muszę pójść do toalety... b.. Ależ nie, to dziecko się rodzi... Mały kwiatuś, o czarnych włoskach i matowej cerze. Wyślizgnęła się z mojego brzucha z niesamowitą łatwością. Dookoła mnie rozległy się głosy: Przy pierwszym dziecku, to wspaniale, rzadko kto rodzi tak łatwo... Karmiłam ją piersią przez sześć i pół miesiąca, to było bardzo łatwe dziecko. Jadła wszystko, dobrze spała, żadnych problemów ze zdrowiem. Dwa lata później chciałam mieć następne dziecko. Chłopca lub dziewczynkę, to nie było ważne. Ale tak bardzo go pragnęłam, że nie chciało przyjść. Doktor nam poradził, żebyśmy wyjechali na wakacje, Antonio i ja, i przestali o tym myśleć. Ale wciąż czekałam i przy kolejnym rozczarowaniu, raz w miesiącu, zalewałam się łzami. Az do momentu, kiedy następna mała dziewczynka zarysowała się na horyzoncie. Szaleliśmy oboje z radości, kiedy na świecie pojawiła się Nadia. Laetitia była jeszcze całkiem mała, gdy zapytała, głosząc mi po rece: a.. Co to jest, mamusiu? Kuku? Co to? b.. Tak, mama ma tu kuku, ale wytłumaczę ci to, kiedy będziesz większa. Więcej o tym nie mówiła. Powoli, krok o kroku, podnosiłam przy niej wyżej rekwizyty, odsłaniałam się coraz bardziej. Nie chciałam jej szokować, nie chciałam wywołać w niej uczucia obrzydzenia, dlatego postępowałam powoli, ale konsekwentnie. Musiała mieć około pięciu lat, kiedy dotknęła mego ramienia: a.. Co to jest, mamó? b.. Mama była spalona. c.. A co cię spaliło? d.. To ktoś. e.. Ktoś? Jest bardzo niedobry! f.. Tak, bardzo niedobry. g.. Czy tata może zrobić mu to samo, co on zrobił tobie? h.. Nie, tata nie może zrobić tego, co on zrobił mamie, ponieważ to jest bardzo daleko, w kraju, gdzie się urodziłam, to zdarzyło się bardzo dawno temu. Ale to wszystko wytłumaczę ci, kiedy będziesz jeszcze większa. i.. A czym on cię spalił? j.. Wiesz, w tamtym kraju nie ma pralek, jak tutaj, więc mama grzała wodę na pranie i rozpalala ogień... k.. Jak rozpalalas ogień? l.. Pamiętasz, jak poszliśmy z tatą do lasu po drewno i rozpaliliśmy ogień, żeby usmazyc kielbaski? Mama robiła to samo: miałam taki ka-cik, gdzie rozpalalam ogień, aby zagrzac wodę. Robiłam wtedy pranie i przyszedł pewien pan, wziął bardzo groźny produkt, taki, co wszystko pali, może nawet spalić cały dom, wylał ten produkt mamie na włosy i podpalił to zapalka. To w taki sposób mama została spalona. a.. On jest niedobry! Nienawidzę go! Pojaje tam, żeby go zabić! b.. Nie możesz tam pojechać, żeby go zabić, Laetitia. Może dobry Bóg już go pokarał. Bo mnie pokarał dostatecznie. Ale ja, ja jestem szczęśliwa, bo mam tatę i ciebie. I bardzo cię kocham. c.. Mamó, dlaczego on to zrobił? d.. Musiałabym ci długo tłumaczyć... jesteś jeszcze za mała. e.. - Aleja chce teraz! - Nie, Laetitia. Powiedziałam, że kiedyś ci to wszystko wytłumaczę. Bo to są bardzo poważne sprawy, trudne do wytłumaczenia i te-raz nie będziesz mogła ich zrozumieć. To, co ci teraz mama powiedziała, powinno ci wystarczyć. Tego samego dnia, po wieczornym posiłku, siedziałam w fotelu, a ona stała obok mnie. Glaskala mnie po włosach i powoli zaczęła podnosić mój sweter. Nie miałam wątpliwości, po co to robi, poczułam się niedobrze. - Co ty robisz, Laetitia? a.. Chciałabym zobaczyć twoje plecy. Postanowiłam pozwolić jej na to. a.. Och, mamó, twoja skóra nie jest gładka. Popatrz na moją, jaka jest gładka. b.. Tak, twoja skóra jest gładka, bo to twoja prawdziwa skóra, a skóra mamy nie jest gładka, bo jest tam wielka blizna. Właśnie dlatego powinnaś bardzo uważać na zapalki. Pamiętaj, że tylko tata, wyłącznie tata może ich używać, żeby zapalić sobie papierosa. Jeśli będziesz ich dotykać, możesz spalić się jak mama. Obiecujesz? Ogień naprawdę może zabić. c.. A ty się boisz ognia, co, mamó? Nie mogłam ukryć tego strachu, pojawiał się znienacka, przy najmniej spodziewanej okazji. A zapalki były moją obsesją. Zresztą są do tej pory. Laetitia zaczęła przesładować nocne koszmary, słyszałam, jak się rzuca, krzyczała: Aj, aj!, ze wszystkich sił szarpała koldre. Pewnego razu spadła nawet z łóżka. Miałam nadzieję, że z czasem wszystko się uspokoi, ale któregoś dnia powiedziała mi: a.. Wiesz, mamó, noca przychodzi, żeby zobaczyć, czy spisz. b.. Ale dlaczego to robisz? c.. Żebyś nie umarła. Zaprowadziłam ją do mojego lekarza. Martwiłam się o nią, miałam do siebie pretensje, że za dużo jej powiedziałam. Ale lekarz uważał, że dobrze zrobiłam, mówiąc jej prawdę, ale teraz powinnam uważać przy odpowiedziach na następne pytania. A potem przyszła kolej na Nadie. Mniej więcej w tym samym wieku. Jednak ona zareagowała zupełnie inaczej. Nie dreczyły jej koszmary, nie bała się o mnie, jednak nie czuła się dobrze. Widziałam, że dusi wszystko w sobie.. Siedzieliśmy obydwoje i ona wzdychała. a..

Dlaczego wzdychasz, kochanie? b.. Nie wiem, tak sobie. a.. Kiedy serce tak wzdycha, to znaczy, że czegoś mu brak. Chciałabym coś powiedzieć mamie, ale boisz się to zrobić? b.. Masz bardzo małe uszy! Czy dlatego masz małe uszy, bo jadasz za mało? - Nie, kochanie. Mama ma małe uszy, bo była spalona. Tłumaczyłam Nadii wszystko w ten sam sposób. Chciałam, żeby moje córki słyszały ode mnie to samo, te same słowa. Więc używałam tego samego języka, mówiłam Nadii te same prawdy. Złe to na nią wpłynęło. Nadia nie powiedziała, jak jej siostra, że chciałaby zabić tego, kto mi to zrobił, poprosiła tylko, czy może mnie dotknąć. Miałam kolczyki, często je nosze, by ukryć to, co mi jeszcze pozostało z uszu. - Możesz dotknąć. Tylko delikatnie, nie ciągnij za kolczyki, bo to boli. Musnęła moje uszy i poszła do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Myślałam, że najtrudniej było im to wszystko zniesić, kiedy poszły do szkoły. Dorastały, a Antonio nie zawsze mógł po nie pojechać. Domyslałam się pytań innych dzieci. Dlaczego twoja mama taka jest? Dlaczego nawet latem zawsze nosi sweter? Co jest twojej mamie? Dlaczego ona nie ma uszu? Następnym etapem wyjaśnienia był chyba najcięższy. Starłam się wszystko uprościć, nie mówiłam o Marouanie. Kłamałam. Spotkałam pana, w którym się zakochałam, on także mnie kochał, ale moi rodzice na to nie pozwolili. Zdecydowali, że powinno się mnie spalić, po winnie umrzeć. Taki był obyczaj w moim kraju. Ale pani Jacqueline, ta, która często przyjeżdża do nas z wizytą, zabrała mnie do Europy, abym tu wyzdrowiała. Laetitia zawsze była gwałtowniejsza, Nadia cichsza. Laetitia miała dwanaście lat, kiedy oznajmiła mi, że chce tam pojechać i zabić ich wszystkich. To były prawie te same słowa, które wypowiedział jej ojciec, kiedy opowiedziałam mu swoją historię i o narodzinach Marouana. Mam nadzieję, że oni tam wszyscy zdechną za to, co ci zrobili! Teraz mnie z kolei zaczęły dreczyć koszmary. Leżałam, spałam i matka przychodziła do mnie z błyszczącym nożem w ręku. Wymachiwała nim mi nad głową, mówiąc: Zabije cię tym nożem! A noż błyszczał niczym światło... Moja matka objawiała się bardzo realnie, naprawdę tu była, tuż nad moją głową. I budziłam się złana potem, przerażona. Ten koszmar powracał bardzo często. Budziłam się zawsze w chwili, kiedy noż zaczynał błyszczeć najjaszej. Najgorszy do zniesienia był widok mojej matki. Przerazał mnie bardziej niż śmierć, niż ogień. Chciała mnie zabić, zabijała swoje nowo narodzone dzieci, była zdolna do wszystkiego i to była moja matka! Wyszedłam z jej brzucha! Tak bardzo bałam się, że fizycznie będę do niej podobna, iż zniósłam jeszcze jedną operację, tym razem plastyczną. Jedną więcej, jedną mniej... Ta operacja oswoiła mnie z podobieństwem fizycznym, którego widoku już dłużej nie mogłam zniesić w lustrze. Malenka wypukłość na czole między brwiami, u nasady nosa, identyczna jak u niej. Już jej nie mam, uważam nawet, że teraz jestem ładniejsza. A jednak koszmar nadal mnie przesładował. I lekarz nie umiał nic na to poradzić. Może powinnam była pójść do psychiatry, ale taka myśl nigdy nie przyszła mi do głowy. Pewnego dnia udałam się do uzdrowicielki, by porozmawiać z nią o moim przypadku. Dala mi mały noż, zupełnie malenki, i powiedziała: Niech pani włoży go pod poduszkę, ostrze należy zamknąć. Koszmary przestały pania dreczyć. Zrobiłam, co przykazała, i terroryzujący mnie we śnie noż już nigdy nie powrócił. Niestety, ciągle myślę o mojej matce. Wszystko, czego brakuje Bardzo chciałam nauczyć się pisać. Potrafię czytać, ale tylko drukowane litery. Nie mogę zrozumieć listu pisanego ręcznie, bo czytania nauczyłam się na gazetach. Ale zdarza mi się czasem potknąć na jakimś słowie. Wtedy pytam o to moje córki. Edmond Kaiser i Jacqueline próbowali na początku dać mi jakieś podstawowe wiadomości. Zawsze chciałam się uczyć jak wszyscy inni. Około dwudziestego czwartego roku życia, kiedy zaczęłam pracować, miałam możliwość uczeszczenia na kurs przez trzy miesiące. Byłam bardzo zadowolona. Co prawda, było mi ciężko, ponieważ opłata za te zajęcia przewyższała moje zarobki, więc Antonio powiedział: Nie szkodzi, przecież mogę ci pomóc. Odpowiedziałam: Nie. Chcę sama płacić za ten kurs. Chciałam osiągnąć coś sama, za własne pieniądze. Skończyłam naukę po trzech miesiącach, ale to mi bardzo pomogło. Nauczono mnie, jak dziecko uczeszczające do przedszkola, trzymać w ręku ołówek i pisać swoje imię. Nie

=====